

Maria Konopnicka

## ZA KRATĄ

### I

Kiedym przed piętnastu laty zwiedzała warszawskie więzienia, gmach przy ulicy Złotej nie był jeszcze wykończony, a oddział karny dla kobiet mieścił się razem z takimże męskim oddziałem w tak zwanym "Pawiaku", który wszakże aresztanci i aresztantki z nie znanego mi powodu powszechnie nazywali "Serbią". Pawiak, vel Serbia, jest to posepny żółty dom, z wieloma należącymi do niego budynkami, opasany murem; front jego wychodzi na ulicę Dzielną, tyły zaś na ulicę Pawią, od której i owa ogólniejsza nazwa jest wzięta. U furty tego gmachu stanęłam po raz pierwszy w dzień jesienny, dżdżysty, w towarzystwie jednej z moich znajomych, która, uzyskawszy odpowiednie pozwolenie władzy, dawniej już zaczęła odwiedzać więźniów i cieszyła się nieograniczonym ich zaufaniem.

Trzy czy cztery schodki, do furty wiodące, zaledwie pomieścić mogły kobiety, które się na nich cisnęły z węzełkami, tobołkami, garnuszkami, czekając na tak zwane "widzenie". Kumoszki z miasta, łatwiej zaznajamiające się z sobą, prowadziły nader ożywioną gawędę, przerywaną głośnymi wyrzekaniami; baby ze wsi przybyłe, odziane w chustki lub fartuchy na głowę, dumały, podparłszy brodę na rękach, wzdychające, zawstydzone jakby...

Widzenie udziela się urzędownie raz tylko na tydzień, w niedzielę; wszakże stan zdrowia uwięzionych lub odległość zamieszkania przybywającej w innym dniu rodziny więźnia uwzględnia się dość szeroko i dlatego też nie ma dnia, żeby schodki owe przez baby obłożonymi nie były.

Poza furta niewielka sień, także najczęściej interesantów czekających pełna; tu w bocznej ścianie znajduje się okienko komunikujące z kancelarią pana inspektora i ułatwiające kontrolę przybyłych. Z sieni tej parę stopni prowadzi na długi korytarz, z którego szereg drzwi wiedzie do kancelarii, do sali widzeń, do niektórych warsztatów, wreszcie do mieszkania inspektora. Wprost wejścia prawie, schody na piętra, z których pierwsze obejmowało podówczas oddział kobiecy. W oddziale było przeszło sto kobiet, mieszczących się w dziewięciu czy dziesięciu tak zwanych "kamerach", których każda ma oddzielne wejście z obiegającego piętro korytarza. Klucz zgrzytnął kilka razy, dozorca otworzył drzwi wszystkie, a kamery ukazały mi jednostajne swoje wnętrza.

Pierwsze wrażenie jest dość niespodziane. Więzienia przywykliśmy uważać jako coś bardzo ponurego i ciemnego: nie zdziwiłabym się też wcale, gdyby ściany były odrapane i brudne, okienka małe i nie dające światła, a barłóg ze słomy i dzban wody dopełniał tego urzędnika. Jasność więc kamer, ich czystość, ich obszar uderza czymś nieoczekiwanym. Są to w istocie dość duże, prostokątne izby z czysto wybielonymi ścianami i równie czysto utrzymaną podłogą. Dwa zwyczajnej wielkości, dość rzadko zakratowane okna, wychodzą na podwórko więzienne i dają światło bardzo dostateczne; w jednym kącie piec kaflowy, w drugim poskładane jeden na drugim i pokryte siwymi derami sienniki, dokoła ścian ławy, w pośrodku rodzaj warsztatu do wyplatania krzesel służącego - oto wszystko. Pomimo wszakże tego schludnego pozoru, a nawet otwieranego ukradkiem lufcika, powietrze jest tak tu, jak i na korytarzach specjalne, że tak powiem, więzienne, ciężkie, duszne, jakby przesiąknięte zastarzającymi miazmatami, tak że się trzeba uczyć nim oddychać i dopiero z czasem nawyknąć do niego można. Pod ścianami na ławach, przy warsztacie, kilkanaście starszych i młodszych kobiet; dwie czy trzy karnią

żółte jak wosk i obrzmiałe na twarzyczkach dzieci. Siwa, gruba spódnica więzienna i takiż kaftan - na kilku uwieczonych tylko. Reszta odziana w suknie własne, których utrzymanie w całości lub zastąpienie nowymi jest, jak się przekonałam z czasem, przedmiotem największych wysiłków aresztantek. Widziałam takie, które miesiącami całymi nie dojadają, odkładając grosze za chleb na jakąś chustkę lub kaftan; widziałam fartuchy wycerowane jak siatka pajęczna, widziałam spódnice, które ujęte igłą w jednym miejscu, rozłaziły się w drugim, a przecież miłsze były właścicielkom swoim od więziennej odzieży, w której grubym wołoku robactwo zagnieżdża się z niesłychaną łatwością i jest prawie nie do wytepienia. Izba, w której zatrzymałam się podówczas najdłużej i do której najczęściej zachodziłam potem, w ciągu cotygodniowych, przez rok blisko trwających odwiedzin, zajęta była przez bardzo interesujące typy. Przede wszystkim królowały tu dwie siostry, Helena i Waleria War., które pochodziły z rodziny specjalnie złodziejskiej, czyli z tak zwanej "złodziejskiej szlachty". Waleria chorowita, blada, wysoka, z długim wronim nosem i małymi oczkami, z jakimś fałszywym i brzydkim spojrzeniem, była przedmiotem namiętnego przywiązania młodszej Heleny, która miała w śniadawej twarzy i niebieskich oczach wyraz odwagi, szczerości, determinacji i jakiejś dziwnej pogody. Obie siostry już nie bardzo młode, nie po raz też pierwszy odsiadywały karę swoją w Serbii. Helena była już tu coś z czwartym powrotem, Waleria wprawdzie jeszcze zapoznała się z więzienną izbą. Tym razem ona to dostała, jak tu mówią, wyrok; ale Helena przyznała się do uczestnictwa dobrowolnie, żeby siedzieć z nią razem. Przywiązanie to wszakże nie przeszkadzało im bynajmniej lżyć się ostatnimi wyrazami, a nawet drapać przy każdej sposobności i dopiero wtedy, kiedy je kto rozbroić chciał, obie rzucały się na rozjemcę, stwierdzając tym sposobem swoją siostrzaną miłość. Nie wiem, co się działo z resztą rodziny War., ale widywałam tam ich matkę, staruszkę siedemdziesięcioletnią może, która je nawiedzała, błogosławiła i chlubiła się nimi tak, jakby to były najszlachetniejsze istoty w najwłaściwszym dla siebie położeniu będące i przynoszące jej największą pociechę; one też nawzajem odpłacały jej nadzwyczajną czułością i przywiązaniem. Obie siostry używały pomiędzy koleżankami wielkiego poważania. O Waleni mawiano z rodzajem naiwnego podziwu, że "na wolności miała zawsze dobre zarobki", o Helenie wiedziano, że jest rezolutna, że w potrzebie za cały oddział się zastawi i nawet samego "wielmożnego" się nie zleknie. "Wielmożnym", tak wprost, bez dodania tytułu lub wyrazu pan, nazywały aresztantki inspektora swego. "Wielmożny idzie", "wielmożny kazał", "powiem przed wielmożnym", oto wyrażenie, które mi się z początku zdawało dość dzikim, ale do którego przywykłam w końcu tak, że mnie razić przestało. Lecz był jeszcze inny powód przewagi siostr War. Oto należały one do zastarzałych recydywistek, a sądy, wyroki, pobyty, dozory, więzienia wreszcie, były dla nich niemal normalnymi warunkami życia. Etyka zaś Serbii polegała na tym, że o ile dostające się tam po raz pierwszy klientki lekceważone były i pogardzane niemal, o tyle wytrawne i wielokrotnie karane używały powagi i szacunku. "Frajerki" zamiatały i oczyszczały izbę, szorowały podłogi i nierzadko całowały w rękę "panie", które traktowały je protekcjonalnie i z akcentem pewnej wyższości. Zdarzało mi się nawet nieraz słyszeć, jak zirytowany strażnik wołał na jakąś krnąbrną nowicjuszkę: "ty frajerko!", okazując jawnie wzgardę swoją, jako władza, dla tych upośledzonych istot. Dwie charakterystyczne cechy zauważyłam w mieszkankach Serbii: wielkie zdziczenie i wielką naiwność. O lada co, o słowo, o gest, o spojrzenie - wybucha

tam wściekłość zwierzęca niemal. Złorzeczenia, klątwy, bójki są wtedy na porządku dziennym, tak pomiędzy zamkniętymi w jednej izbie, jak i pomiędzy izbami solidaryzującymi się z sobą. Drzwi, których zamek izbę od izby dzieli z wewnątrz, wytrzymać muszą wówczas kopania, uderzenia pięści, drapanie paznokciami, którym to wybuchom dopiero nadchodzący strażnik tamę kładzie. Co do naiwności, tę spotkać można w starych nawet i wytrawnych złodziejkach. Pamiętam, była tam jedna, Jasielska, która odsiadywała wyrok za kradzież rzeczy służących do kobiecego ubrania. Otóż opowiadała mi ona, w jaki sposób tutaj popadła. Jakieś damy, sprowadziwszy się do Warszawy, rozpakowały swoje kufry w świeżo najętym mieszkaniu, a że szaf jeszcze nie było, więc rzeczy rozłożone zostały na krzesłach, stołach itd. Leżało to tak dzień czy dwa, to jest dosyć długo, aby zwrócić uwagę złodziei. Jakoż znajoma Jasielskiej i znajomej tej znajomy zajechali dorożką przed dom, w czasie kiedy damy wyszły, i wysłali Jasielską na połów.

- Wchodzę ja - proszę pani - a tu tyle śliczności, że nie wiedzieć, na co wpierv patrzeć. Biorę j a wsypkę jedwabną, co też tam leżała, i pcham w nią, co się mieści; niosę raz na dół - nic, niosę drugi raz - nic, niosę trzeci raz, aż tu mnie stróż pyta: co to pani tak spaceruje po tych schodach? A ja mówię: To te panie, co przyjechały, sprzedają niepotrzebne rzeczy, więc ja kupuję. I dobrze. A był tam kapelusz aksamitny z piórem. Ledwośmy do domu wrócili i rzeczy dobyli, a ta niegodziwa mówi: kapelusz mój. A ja mówię: nieprawda, bo mój. Tak oni zaraz na mnie we dwoje; pobili mnie, pokaleczyli, wypchnęli i pół rubla za mną jak za psem cisnęli. Aż tu niedługo robi się gwałt na mieście; lokaja wzięli, stróża wzięli. Jak zaczęli szukać, jak zaczęli trząść, tak znaleźli rzeczy u paserki na Pradze. Od jednego do drugiego, wszystko się wydało. Zabrali ich dwoje, zabrali i mnie. Tak potem, jak przyszła ta sprawa, prowadzą mnie do sądu. Patrzę ja, aż tu rzeczy precz porozkładane, a w sądzie pani i panna takie śliczne, jak te anioły z nieba, aż płaczą, tak proszą za mną. Panie sędzio, panie dobry! patrz pan, jaka ona młoda! poprawi się jeszcze, wypuście ją, może głodna była, może z biedy... My już i tak mamy, co nasze, odpuście jej, chociaż jej tylko! Tak już te panie proszą, tak się modlą, aż mi się serce kraje! A sędzia nie i nie. Aż tu znów starsza mówi: "Panie sędzio! Tam w biurku u mnie leżało trzydzieści tysięcy rubli, a przecież ich nie wzięła". - Jak ja to usłyszę, proszę pani, jakby we mnie piorun trząś! To ty, głupia, myślę sobie, za gałgany chwytłaś, a nie zajrzałaś, co było w biurku. Myślałam, że trupem padnę... Otóż to taka mieszanina naiwnej skruchy i chciwości złodziejskiej jest charakterystycznym ich rysem.

Żadna z uwięzionych nie wyraża się inaczej o sobie, jak tylko że "popadła" w nieszczęście. Zupełnie jakby nie czuły ani udziału woli w swoich czynach, ani też moralnej za nie odpowiedzialności.

Wyjątkiem świetnym pod każdym względem była małorosjanka, Kazarynowa, przez długi czas "niania" w jakimś zamożnym domu, a potem za kradzież brylantów w jubilerskim sklepie na siedm lat więzienia skazana.

Cicha, spokojna, zawsze niezmiernie schludnie w czarnej sukni i białym czepeczku wyglądająca, nie podnosiła prawie oczu od szybko robionej cienkiej pończoszki. Pięć lat już siedziała tak w tym samym miejscu, pod oknem w rogu ławy, schylając swoją bardzo miłą i bladą twarz nad robotą. Kiedy inne narzekały, wypierały się, przeklinały, ona zawsze z niezmienną słodyczą mawiała: "Źle się zrobiło, trzeba znosić, co Bóg dał". To była filozofia, która jej dawała dziwną pogodę i otaczała kącik jej spokojem, wtedy nawet, kiedy cała izba wrzała jakąś burdą.

Ale nie tylko uczucie nienawiści było tam silnie napięte; toż samo działało się z uczuciem miłości. Każda aresztantka, czy starsza czy młodsza, miała swego wielbiciela; nawet zupełnie stare kobiety nie były wyłączonymi od pocisków Amora. Zdaje się nawet, że był to jeden z powodów, który, obok szczupłości pomieszczenia, skłonił władze do utworzenia karnego oddziału dla kobiet w osobnym gmachu i na innej zgoła ulicy.

Miłość w Serbii zawiązywała się jak wszędzie nie wiedzieć z czego. Przy więzieniu był ogródek, do którego wypuszczano aresztantki w południe, na ogródek wychodziły okna z męskiego oddziału, i tutaj to prawdopodobnie, podczas tych południowych przechadzek, pierwszym pośrednikiem bywał zmysł, "który kochać przymusza". Aż dotąd rzecz zwykła. Ale objawy tej miłości miały odrębny swój i godny uwagi charakter.

Kiedy więzień upatrzył sobie bogdanę, posyłał jej, mniejsza o to jaką drogą, nowe trzewiki. Były to jakby oświadczyzny afektu. Jeśli afekt był podzielany, bogdanka przysyłała parę skarpetek przez siebie zrobionych, jako odpowiedź uczuciom zakochanego przychylną. Ale był to dopiero wstęp niejako, preludium miłości. Trzeba było bogdancę pokazać, że się jest dzielnym chłopem, który wszelkiej przygodzie dotrwa i dostoi. W tym celu zakochany szukał zaczepki z pierwszym lepszym towarzyszem, a czasem i bez zaczepki dawał mu pięścią w kark lub między oczy; hałas sprowadzał strażnika, zakochany rzucał się na niego jak lew, rwał na nim ubranie, walczył i dopiero siłą większą pokonany, szedł na dwa tygodnie do ciemnej. Ciemna - jest to komórka sklepiona w piwnicach, bez podłogi, i z okienkiem tak małym, że dnia prawie nie dopuszcza, a takie w niej zimno nieznośne, nawet latem, że kiedym raz odwiedzała zamkniętą tam penitentkę, która koleżance swojej zrobiła dziurę w głowie szydłem przy wyplataniu krzesel, to już po półgodzinie febra mnie trzęsła. Tapczan przy tym bez siennika, obostrzenie postu - oto ciemna.

Zakochany nasz jednak idzie tam na dwa tygodnie jak na bal: głowa do góry, spojrzenie wyzywające. Nie prosi o ulgę, nie prosi o skrócenie terminu, choćby nawet wiedział, że mu to udzielonym będzie. Przez cały ten czas wybranka jego serca chodzi z dumnie podniesionym czołem, nastęcza się strażnikom ze swymi aroganckimi minami, z najwyższą wzdargą spogląda na tak zwane "plastry", to jest na trwożliwe i uległe koleżanki swoje, samemu nawet „wielmożnemu" śmiało w oczy patrzy. Upływa wreszcie termin ciemnej, a zakochany bohater staje się na pierwszej przechadzce w ogródku przedmiotem powszechnej owacji.

Ale i kobieta chce okazać, że wcale nie ustępuje wybranemu co do wielkości serca i odwagi. Nie czekając tedy, daje w twarz którejkolwiek z towarzyszek, rzuca się na rozbijającego je strażnika i naturalnie idzie także do ciemnej, odbyć swoją kolej, harda, nieugięta, nie prosząca o nic, i mężnie wytrzymuje swoje dwa tygodnie. Po takim eksperymencie następuje pomiędzy tym dwojgiem jakby jakiś sakramentalny związek serc, który rzadko kiedy zrywany bywa, a otoczony jest szacunkiem towarzyszy i towarzyszek. Pierwszym, który ten rodzaj mistycznego ślubu dusz wprowadził w użycie w Serbii, był Józiek Kamieniarz, kochanek Heleny War. za jej młodych lat jeszcze. Byliby się oni nawet na dobre pobrali, tylko tak im jakoś zawsze wypadało, że albo jedno, albo drugie siedziało w więzieniu, albo wreszcie oboje razem. Poszedł raz nawet Józiek Kamieniarz na Sybir, a chociaż w tym czasie Helena nie naśladowała Penelopy zbyt ściśle, za złe jej tego nie miał i z dobrym sercem do niej powrócił, bo wiedział, że ona o nim tylko myśli, tak jak i on o niej.

Nigdy nie zapomnę ranka spędzonego w więzieniu 25 grudnia 1882 roku. Oddział karny nie miał przedtem kaplicy. Aresztantki chodziły wprawdzie niekiedy słuchać mszy w oddziale śledczym przy ul. Długiej, ale ponieważ na nabożeństwo takie trzeba było pod strażą przez ulice iść, wymawiały się od tego jak mogły, tak że niejedna całymi latami we wspólnej modlitwie udziału nie brała. Otóż kilka osób dobrej woli postanowiło urządzić ołtarz więzienny w samej Serbii, a ponieważ miejsca na kaplicę nie było, ustawiono go na korytarzu, wprost schodów, wiodących do izb kobiecego oddziału. Jeden z młodych naszych malarzy, p. St. R., odznaczony złotym medalem uczeń petersburskiej szkoły sztuk pięknych, wymalował Madonnę Łaskawą, która wszystkim do serca przypadła. Była to dziewicza postać w białej szacie, wyciągająca ręce do cisnących się u stóp jej nędzarzy.

Formalności natury duchownej i świeckiej zajęły bardzo dużo czasu. Schodziły komisje, mające ocenić, czy miejsce na ołtarz właściwie jest obrane, zwlekano wydanie mensy, przypatrywano się, mitrężono po naszymu na wszelki sposób, aż wreszcie wszystko było skończone, załatwione i pierwsza msza odbyć się miała w dzień Bożego Narodzenia. Kiedym weszła, korytarz był już pełny. Dwa okienka, znajdujące się na dwóch jego przeciwległych krańcach, oświetlały z jednej strony zbitą masę pogolonych głów męskich i więziennych siermiąg, z drugiej zastęp klęczących kobiet.

Z boku umieszczono melodykon, na którym, zastępując organistę, grał sam „wielmożny”, a przed ołtarzem stał trzęsący się, zgarbiony ksiądz siwy, który głową chwiał tak, że mu słowa na zapadniętych ustach rwały się i ginęły w recitativach żalonych, bardziej do jęków podobnych niżeli do śpiewu.

Tuż zaraz na prawo, z niezmaconą w twarzy pogodą, klęczała na czele kobiet Helena War., która się w ciągu dni kilku wyuczyła ministrantury i donośnym, czystym śpiewem podtrzymywała, owszem, zagłuszała niemal głos jakiegoś wyrostka do mszy służącego, a nawet ten ochrypli dzwonek, który mu w ręku kołatał.

Wszyscy byli dziwnie wzruszeni. Na wielu apatycznych twarzach znać było jakiś niepokój; wiele kobiet przyłgnęło piersiami i obliczem do ziemi, załamane ręce trzymając przed sobą na podłodze; inne, wpatrzone w obraz, zdawały się być pod wpływem niespodziewanego uroku. Nie brakło i takich wprawdzie, które klęcząc zrazu, posiadały potem na piętach i albo o mur oparte drzemały, albo też bezmyślnie wodziły dokoła oczyma; ogół wszakże, a i o mężczyznach tu mówię, był poruszony, niespokojny, wstrząśnięty. Po takiej to mszy, wśród tego tragicznego tłumu zabrzmiała nagle z kilku setek piersi stara, wszystkim znana kolęda: "Bóg się rodzi, moc truchleje..." Zdawało się, iż pieśń przelewa się wierzchem przez te wszystkie serca. Śpiew grzmiał jak wołanie otchłani, niepowstrzymany, namiętny, wysilony boleśnie...

Ale przy trzeciej już strofie zaczęło głosów ubywać, potem się tu, to tam odezwało stłumione łkanie, aż wreszcie buchnął taki płacz, taki jęk, że sam "wielmożny" takt zgubił w przygrywce, jakby mu ręce zadrżały, a stary, siwy ksiądz, co przed ołtarzem klęczał, podniósł w górę trzęsące się dłonie, a głowę schylił nisko, jakby miał objawienie tej niezagasłej mimo wszystko iskry człowieczeństwa, która pod tymi guniami więziennymi tli przysypana popiołem długoletniej poniewierki, a rozdmuchnięta nagle powiewem uczucia wybucha niepowstrzymanie.

Odtąd niedziele były mniej posepnymi w Serbii. Młodsze z uwięzionych jedna przez drugą wyuczyły się różnych pieśni; po mszy bywała nauka, niekiedy bardzo niedołąźnie, przyznać trzeba, wypowiedziana; melodykon także stanowił pewne urozmaicenie; a wszystko to dawało na resztę dnia przedmiot rozmowy choć

cokolwiek spokojniejszej, kojącej te rozdrażnione umysły względną pogodą. Uwięzione nazywały zwykle towarzyszkę moją "pani hrabina", co w ich przekonaniu i najwyższym zaszczytem było, i najlepiej malować miało ich uczucie wdzięczności dla osoby, która była prawdziwie ich opiekuńczym aniołem.

O mnie zaś, która im tyle dobrego zrobić nie mogłam, mówiły po prostu "nasza pani" i lgnęły do mnie dość łatwo.

Nie wszystkie jednak. Od dawna już uważałam, że jedna z aresztantek, niemłoda, z wiejska ubierająca się kobieta, trzyma się zawsze w pewnym oddaleniu, stojąc lub siedząc skulona pod piecem. Widziałam wszakże, iż od czasu do czasu zwraca głowę i słucha, co mówię z innymi.

Była to Szymczakowa, znana z procesu o liczne dzieciobójstwa, współniczka Szyfersowej, która wcześniej jakoś umiała się uwolnić z więzienia. Cały oddział miał Szymczakową w pogardzie; a inspektor nie wiedział, gdzie i jak ją pomieścić, bo żadna z aresztantek przy jej tapczanie siennika swego położyć nie chciała. Utrzymywały, że po nocach nie sypia, że stęka, zrywa się, że przez sen gada. Powoli też ona sama usunęła się od wszystkich, a zaciągnąwszy tapczan swój pod piec, trawiła w tym kącie dni całe, siedząc skulona i latając wory.

Była to ohydna baba. Tęga, barczysta, dość słuszna, twarz miała ospowatą jakby, z której dawna czerwoność przeszła w jakiś żółtoceglasty, brudny odcień; kości twarzy tej były nadmiernie wystające, szczęki ogromne. Pod niskim, zachmurzonym czołem oczy małe, ponure, czasem jakby martwe, to znów latające, niespokojne, przestraszone jakieś. Była to jedyna z aresztantek, która przez ten rok cały nie przemówiła do mnie ani słowa.

Ja też nie szukałam zbliżenia. Powiem nawet, że czułam do niej jakiś wstręt, jakąś odrazę. A nie tylko ja. Towarzyszka moja, pomimo wielkiej swojej słodyczy i dobroci, także nie zbliżała się do Szymczakowej nigdy, odpychana jakby obawą jakąś. Tak upłynęło parę miesięcy.

Póki jeszcze więziennego ołtarza nie było, niedzielne ranki przechodziły zwykle w ten sposób, że opowiadałam aresztantkom coś stosownego dla nich albo z Ewangelii, albo z dawnych dziejów, a już z tego wywiązywały się potem długie rozmowy, w których i starsze, i młodsze chętny brały udział, siedząc około mnie na ławach, na podłodze, skupione, cisnące się, zadumane nieraz. Uważałam, że najchętniej mówią o dzieciństwie swoim i o młodych latach. Zdawałoby się, że te sponiewierane istoty mimo woli wracają myślą do chwil, w których jeszcze występny nie były. Mówiłam tedy z nimi o ich rodzinie, o rodzinnym miejscu, przypominałam im wieś, las, pole, żniwa, szkółkę. Nieraz też słuchałam opowiadań, które się zaczynały od kłamstw i wykrętów, a kończyły nierządkiem we łzach i w prostocie słowa.

Większa część aresztantek lubi mówić dużo i mówi wcale gładko; niektóre z nich okazują wielką chęć do książki i wszelkich opowieści słuchają chciwie.

Dopytują się też gorliwie bardzo o to, co się dzieje "na świecie", a nawet politykują. Co prawda, polityka ta obraca się zwykle w sferze przewidywań nadzwyczajnych jakichś wydarzeń i płynących z nich manifestów, które by skróciły termin ich kary.

Jest zwykle "w kamerze" jedna lub dwie polityczni takie, które kombinują wypadki europejskie w sposób najpociesznieszy, podczas kiedy inne słuchają ich z otwartymi z podziwu ustami, a wszystkie te kombinacje zawsze wypadają w ten sposób, że czy tak, czy owak, manifest musi przyjść i wyroki zmniejszone będą. Zdarzyło się raz, że przyniosłam z sobą Zachwycenie Lenartowicza i czytałam głośno. Zeszła się kobiet pełna izba i słuchały z wielkim zajęciem, które się

objawiało głośnymi westchnieniami. Aż kiedy przyszło miejsce o owych nie chrzczonych dzieciątkach, które się po otchłaniach tułają, nie mogąc zaznać spokoju, ruszyła się ku ogólnemu zdziwieniu Szymczakowa spod pieca i ciężkim krokiem, jakby ją kto po niewoli ciągnął, przyszła usiąść tuż przy moich nogach. Padła raczej niż usiadła i wielką swoją głowę, związaną w czerwoną chustkę, położyła mi na kolanach.

Muszę wyznać, że wzdrygnęłam się mimo woli. Głos mi się targnął, gorąco uderzyło do twarzy. Przemogłam się przecież i, nie przerywając czytania, położyłam rękę na tej wielkiej, ciężkiej głowie. Wkrótce uczułam, jak się ten kolos, oparty o mnie, zaczął spazmatycznie wstrząsać, a kiedy po kwadransie jakimś czytanie się skończyło, podniosła się Szymczakowa ciężko, sieknęła tak, jakby wielki ciężar dźwigała, i powlokła się pod piec na zwykłe miejsce swoje. A ja wtedy zobaczyłam, że mam suknię od łez jej mokrą.

Odtąd często tak przychodziła się na podłozie przy mnie, i ja też nieraz jeszcze kładłam rękę na tej potwornej głowie, i nieraz czułam, jak się te szerokie piersi wstrząsają u moich kolan jakimś wewnętrznym płaczem, ale ani ja, ani ona nie przemówiłyśmy nigdy do siebie.

Najmłodszymi z uwięzionych były wówczas: Leosia, szesnastoletnia może dziewczyna, która wszakże przeszła już całą szkołę ulicznego zepsucia, tudzież Mańka, mająca może lat ze czternaście, która od rodziców uczciwych, pracy rzemieślniczej oddanych, uciekła, aby kraść, jak ptak ucieka, aby latać. Wesoła, sprytna, śmiejąca się szarymi oczyma i zielonkawą, chudą bardzo twarzą, od szajki do szajki złodziejskiej wędrowała tak, jak od terminu do terminu. Dla jednych kradła pieniądze, dla drugich odciskała zamki, co kto chciał. Kochanka też miała już, niewiele starszego od siebie. We dwoje biegali kraść tak, jak inne dzieci w ich wieku biegają gonić motyle. W żadnej z najzatwardziały z łodziejek nie widziałam tyle czelności, ile w tej zgubionej Mańce. Graniczyło to niemal z niewinnością, takie było jakieś dziwnie naturalne, przyrodzone jakby. Co się z nią stało - nie wiem, ale jest mi smutno, ile razy o niej myślę. W ostatniej "kamerze" siedziały tak zwane "pierzarki". Były to stare baby, zajęte specjalnie darcie pierza i kłócące się z sobą od rana do nocy. Główną ich słabością było to, iż ogólnie chciały uchodzić za bardzo szanowne osoby. Ani jedna nie siedziała tam z własnej winy. Broń Boże! Wszystkie były czyste jak szkło. Tylko - ot, takie to już nieszczęście, że człowiek zawsze „popaść” w coś musi. Skutkiem tego właśnie ustawicznego dowodzenia swojej niewinności, zrobiły się baby owe tak drażliwe, że za najmniejszym gryzącym słówkiem, jakiego sobie przecież od czasu do czasu odmówić nie mogły, robiło się u pierzarek istne piekło. Strażnicy też, a nawet sam „wielmożny”, mieli z nimi niemało roboty i wszyscy, przyznać to trzeba, bab tych nie cierpieli.

Była tam pomiędzy nimi jedna - nazwiska jej przypomnieć już sobie nie mogę - która miała różę w nodze, odnawiającą się ciągle, i która, z małymi przerwami, siedziała w więzieniu od lat bardzo dawnych. Kiedy ją wypuszczano po raz ostatni, obejrzała się na prawo, obejrzała się na lewo, a potem prosto poszła do Świętokrzyskiego kościoła i ściągnęła obrus z ołtarza.

- Nie z biedy, proszę pani! Niech mnie tak Bóg da zdrowie, jak miałam jeszcze całe cztery złote w kieszeni!

- I cóż wam z tego przyszło? - pytałam baby.

- A ot co? - baba na to. - Musieli mnie wziąć. A co ja inszego będę na świecie robiła? Ni ja męża, ni ja dziecka, człowiek sam jeden, jak ten palec... A to już dwadzieścia siedm lat tu siedzę. I człowiek przywykł, i człowieka znają, i ką

ma swój, i poszanowanie...

O mało żem się nie roześmiała, słysząc o tym "poszanowaniu".

Strawę dostają aresztantki sporządzoną dość czysto i względnie wystarczającą.

Groch, kasza, kapusta - na przemian, w południe; dwa funty chleba dziennie, rano jakaś zupa, też z kaszą, słowem, mogą nie być głodne.

Trzy razy na tydzień dostają w krupniku tak zwane "sztuczki". Sztuczki owe są niewielkie, a nawet dość małe kawałki mięsa, przy których rozdawaniu każdej z aresztantek zdaje się, że druga dostaje większy. Powstają stąd spory i zatargi nieskończone. Już to w ogóle przy jedzeniu panuje tam harmider nieznośny.

Obiad przynoszą w cebrzyku, który ustawia się w korytarzu przede drzwiami; strażnik pilnuje porządku, aresztantki podają jedna przez drugą swoje cynowe miseczki, a dwie uprzywilejowane nalewają warzających strawę. Pamiętam, raz przyniesiono kaszę ze skwarkami z sadła. Aż tu gwałt. Najpierw krzyk, kłótnia, odgróźki, a potem patrzę, pięćdziesięcioletnia może baba płacze jak małe dziecko, chlapiąc, zanosząc się i klnąc w przerwach na czym świat stoi. Poszło jej o skwarki, na których jakoby pokrzywdzoną była.

Wtedy Helena War.. do kłótni tym razem nie należąca, zbiera z wyniosłym gestem sadło z własnej kaszy, rzuca je łyżką na miskę płaczącej, resztę zaś swego obiadu, z pełnym wzgardy rozmachem, wylewa z miski pod piec. Po czym wszystkie łyżki zatrzymują się w połowie drogi do ust, wszystkie oczy patrzą na nią z uwielbieniem, a Helena staje się bohaterką chwili.

### III

Dzień w więzieniu wcześniej się zaczyna. Kiedy strażnik o czwartej z rana izby w Serbii otworzył, aresztantki powinny były być pomyte, poczesane i odziane. Wtedy wypuszczano je do ogródka. "Pod numerem", jak się tu mówi, zostawała tylko "porządkowa". Porządkowa jest jakby przełożoną izby, odpowiada za jej ład i czystość. Ona zaściela sienniki, ona utrzymuje w porządku niezbędne naczynia, posługując się pomocnicami wybranymi najczęściej z „frajerek". Dostaje za to czterdzieści groszy tygodniowo z kancelarii, a od każdej aresztantki "spod numeru" dwa grosze tygodniowo.

Porządkowa bywa zwykle dobierana z doświadczonych starszych kobiet, co to się i ze strażnikiem wyklócić umięją i w izbie rygor utrzymać potrafią.

Mając grosz częsty, mleko sobie kupuje na śniadanie albo przyrządza kawę: w postępowaniu swoim bywa przyzwoita, a pewne poważanie otacza ją widocznie.

Wróciwszy z ogródka, aresztantki zabierają się do roboty. Zręczniejsze szyją, dziergają, robią pończochę, chustki szydełkowe; większość wyplata krzesła.

Wyćwiczone aresztantki uczą mniej zdolne. Majstrowa z fabryki odbiera co tydzień robotę, próbując przy tym dźwięku palcem. Dobrze wyplecione krzesło "ma dzwon", nie dociągnięte daje ton głuchy, a robotnica odbiera naganę. Robotnica, która z funta trzciny wyrabia sześć krzesel, dostaje od każdego krzesła dziesięć groszy. Ta, która sześciu wypleść nie może, dostaje dwa i pół grosza. .0 tych jest podejrzenie, że marnują trzcinę. Wiele tu zależy od zręczności, ale nie mniej od gatunku trzciny. Dobre robotnice wyplatają po piętnaście, dwanaście krzesel dziennie; średnie po ośm do dziesięciu, najgorsze kończą na sześciu, a nawet na czterech.

Najzręczniejszą za owych czasów była Pekinowa, Żydówka. Wyplatała ona po ośmnaście krzesel dziennie.

Niektóre stare baby wcale się wyplatania nauczyć nie mogły i oplakują rzewnymi łzami każde pociągnięcie trzciny, która im się w grubych rękach rwie, skręca i jest przedmiotem srogich przekleństw. Takie, które nawet czterech krzesel



wypleść nie mogą dziennie, idą do łatania worów, sienników i do darcia pierza. Pierzarki dostają dziesięć groszy od funta zdartego pierza. Zarobek ich jest nędzny, jakkolwiek wiele z nich nabywa niesłychanej wprawy i porusza palcami z szybkością maszyny.

Zarobek tygodniowy aresztantki rozdziela się na dwie połowy. Jedna idzie "na wydział", druga "do książki". Połowa zarobku, wpisana do książki, stanowi fundusz zakładowy, który aresztantka odbiera wychodząc z więzienia. Za pieniądze idące "na wydział" może aresztantka dostać czego zechce: mydło, nici, igły, kawę, herbatę, masło, wędlinę, chleb biały, tabakę, a nawet wódkę.

Tylko że wódka zostaje w kancelarii, aresztantka zaś nie dostaje jej na raz więcej, jak jeden kieliszek. Za godzinę może znowu przyjść i wypić kieliszek drugi; ale ani dwóch naraz, ani flaszki "pod numer" nie dostanie. Może także aresztantka przyprowadzić z sobą do kancelarii na wódkę te, które chce poczęstować, i każda z zaproszonych wypija tylko po kieliszku. Naturalnie, że zapasy pochodzące z wydziału nie są nigdy "pod numerem" zupełnie pewne; a kłótnie o zjedzone masło, rozsypaną tabakę, zaginioną kielbasę, zabraną igłę - są na porządku dziennym.

Okolo ósmej przynoszą aresztantkom śniadanie i rozdają chleb; w południe obiad, po obiedzie przechadzka w ogródku, z czego w chłodniejszej porze korzystają te tylko, które mają ciepłe chustki, a potem już robota do nocy. W dni zimowe zapala się o zmierzchu lampa wisząca nad warsztatowym stołem; większe izby mają po dwie takie lampy. Pilniejsze robotnice pracują zwykle dość długo z własnej ochoty; jeśli robota jest nagła, wszystkie pracują dłużej. Nareszcie kładą się spać. W nocy strażnik po dwakroć izby otwiera. Pierwszy raz o dwunastej dla wpuszczenia świeżego powietrza; drugi raz około drugiej, kiedy idzie liczyć śpiące pod numerem aresztantki.

Niedziela tym się od dni powszednich wyróżnia pod względem administracyjnym w Serbii, że z rana otwierający drzwi strażnik przynosi pod numery czyste koszule, a wracając tą samą drogą, zabiera brudne, przy drzwiach porzucone.

Pranie odbywa się w wielkiej kuchni, gdzie na ogromnych trzonach gotuje się strawa w kotłach osobnych dla chrześcijan, osobnych dla Żydów, pod odpowiednim każdemu z tych wyznań nadzorem. Zapuszczenie tak zwanej "trefnej" warząchwi w kocioł żydowski karane jest ciemną.

W drugim końcu tej kuchni stoją balie, a przy nich - pracze. Mężczyźni bowiem piorą tu wszystką bieliznę, i swoją, i kobiet, a do roboty tej wybierani są zwykle spomiędzy aresztantów przybysze ze wsi. Zwyczaj ten datuje się tu od bardzo dawna, a powstał zapewne z potrzeby uniknięcia okazji wspólnego przebywania kobiet i mężczyzn w kuchni.

Pranie to pozostawia bardzo wiele do życzenia. Koszula wychodząca z rąk pracza jest zaledwie przebielona, przetarta z grubszego. Reszta się przymaglowywa, i dobrze. Nie wszystkie jednak aresztantki chcą nosić takie wspólne całemu oddziałowi, a nie doprane koszule. Otóż te wykwintnisze dostają z kancelarii po dwie nowe skarbowe koszule i same je sobie pod numerem piorą.

Różne metody prania zalecane bywają gospodyniom naszym, ale ta, która się praktykuje w Serbii, jest całkiem oryginalna. Do cebrzyka, w którym się aresztantki umywają, a który utrzymywany jest bardzo czysto przez "porządkową", kładą się koszule przeznaczone do prania i nalewają wodą. Piorąca wyciera mokrą szmatą kawałek podłogi, ustawia cebrzyk, klęka przed nim, i wykręciwszy lekko każdą sztukę, rozkładają przed sobą na podłodze, mydli i zwija. Potem kolejno pierze je, a raczej ściera, zawsze na podłodze, którą to manipulację

powtórzywszy raz jeszcze, płucze w cebrzyku, wykręca, suszy i na maglownicy magluje. Przy całym praniu takim na klęczkach odbytym, ani podłogi nie zaleje, ani ścian nie zachlasta, ani nawet fartucha bardzo nie zamacza.

Prania podejmuje się zwykle porządkowa za opłatą dwu groszy od koszuli, do czego daje własne swoje mydło.

Jak widzimy, jest to sposób najpierwotniejszy i pozostałby zapewne takim, gdyby nie - miłość. Miłość wszakże, która w Serbii jest matką wynalazków, wprowadziła pewne ulepszenia i w praniu także. Aresztantka dbała o elegancję miłego, nie poprzestaje na wypraniu na podłodze jego koszuli, którą jakim sposobem dostaje "pod numer", jest dla mnie tajemnicą. Ona koszulę tę krochmali i prasuje także; ale do tego trzeba już zbiegu szczęśliwych konstelacji. Trzeba mianowicie, żeby dnia tego wypadały kartofle z barszczem. Kiedy ta pożądana okoliczność zejdzie się z praniem, piorąca wyjmując z miski kartofel, opłukuje go czysto i rozpostarłszy pięknie gors koszuli, naciera go kartoflem raz koło razu, strzepuje potem, suszy i magluje. Po wymaglowaniu rozkłada koszulę raz jeszcze, a wzięwszy czysto wymytą drewnianą łyżkę do ręki prasuje nią gors, naciskając palcem wgłębienie tak, iż po niejakiem czasie łyżka staje się gorąca, jak rozpalone żelazo, a koszula wyprasowana w ten sposób, jeśli tylko czysto doprana była, wygląda jakby wyszła spod ręki specjalistki z jakiejś chemicznej pralni.

W sobotę łaźnia. Do łaźni areosztantki nie uczęszczają zbyt chętnie. Z niechęci tej zrodził się nawet przepis, że kto nie był w łaźni, ten jeść nie dostaje.

Pomimo to wszystko, ochędóstwo w Serbii pozostawiało wówczas dużo do życzenia.

Chore areosztantki mieszczą się "na górze", w szpitalu kobiecego oddziału, złożonym z trzech izb, z których każda zaopatrzona jest w sześć łózek i dwie trzy kołyski. Aresztantkę, która "pod numerem" zasłabnie, prowadzą lub przenoszą natychmiast, choćby w nocy, na górę, gdzie zaraz ma sobie udzieloną odpowiednią pomoc, jeśli jej położenie tego wymaga, a z rana przychodzi lekarz więzienny.

Chore dostają z rana kwaterkę mleka i bułkę; na obiad rosół z ryżem lub klejek z jęczmiennej kaszy i kawałek cielęciny, wieczorem herbatę. Na dzieci chore także sama porcja wydzielana bywa. Zdarza się, iż służąca za mamkę kobieta, której dziecko przy objęciu obowiązku umieszczonym zostało u Dzieciątka Jezus, dostaje się do więzienia na dłuższy wyrok, to jest na rok, na dwa lata. Wolno jej wówczas zażądać oddania swego dziecka, które jej do więzienia przynoszą, a ona karmi je i odchowuje sama. Na dziecko, choćby to niczego więcej nad pierś matki nie potrzebowało, dają kobiecie karmiącej kwaterkę mleka i pół funta białego chleba .dziennie, a oprócz tego drugą porcję zwykłej dziennej strawy, za którą, jeśli jej nie zużywa, dostaje dwa grosze. Do dwóch lat wieku tylko dzieci oddawane są uwięzionej matce, starszych zabierać z sobą ani trzymać przy sobie "pod numerem" nie wolno. Wyradza to czasem dziwne sytuacje. W ratuszu znajdowała się raz dziewczynka siedmioletnia może, z którą nie wiedziano po prostu co zrobić- Ojciec gdzieś wywędrował, czy zgołą znany nie był, matkę wzięto do więzienia, a dziecko do ratusza.

Kiedym poszła dowiedzieć się o jej losie, przechadzała się w najlepszym humorze pomiędzy zbieraniną uliczną najgorszego gatunku, służąc im za cel dowcipów i conceptów różnych. Pierwszą myślą moją, pierwszym poruszeniem było wziąć za rękę to dziecko i wyprowadzić je. Ale tego zrobić nie można. Nie ma na to przepisu.

- Gdzieżeś ty spała? - pytam małej.

- A ot tu, na ziemi - odpowiada otwierając szeroko oczy, zadziwiona tym, iż ktoś w tak prostej rzeczy ma wątpliwości jakie i przypuszcza, że gdzie indziej jeszcze niż na ziemi - spać można, I zaraz zaczęła mi opowiadać, że jej czegoś

dać nie chcieli. "Ale narobiłam im takiego gwałtu..."

Śmiertelność była podówczas w Serbii dość znaczna, lubo nie tak wielka, jak w arsenałach, gdzie tyfus przyłgnał niemal do murów i zabierał liczne ofiary.

Toteż te z kobiet, które dostały długie wyroki, przenoszone bywały do Serbii, a odsiadujące krótką, kilkumiesięczną karę, pomieszczano w arsenałach.

Najniższym stopniem kary jest odsiedzenie samego wyroku, po czym aresztowana wypuszczona jest na wolność bezwzględna. Drugim stopniem - odsiedzenie wyroku i „pobyt”. Trzecim i najwyższym: zesłanie.

Kategoria druga jest stosowana najobszerniej i pociąga za sobą skutki najfatalniejsze. Do niej to jest przywiązany tak zwany "pobyt", którego istotą jest prawo orzekające, iż wypuszczonemu złodziejowi nie wolno przebywać ani w samej Warszawie, ani w miejscowości bliższej nad wiorst czterdzieści w jej promieniu.

Jeżeli sprawowanie się aresztantki należącej do tej kategorii jest bez zarzutu, wówczas dostaje przy wyjściu z więzienia tak zwany "rozpis", z którym idzie sama, bez strażnika, na miejsce pobytu i tam melduje się w kancelarii, gdzie z niej spisują protokół i pozostawiają własnemu przemysłowi.

Jeśli na taki dowód zaufania zasłużyć sobie w więzieniu nie umiała, wówczas prowadzi ją strażnik etapem, zdając władzy od gminy do gminy, po czym tak samo ją "opisują" w kancelarii i puszczają wolno, aby sobie poszukała roboty. Jeśli to lato. rzecz nie jest laka trudna. Mieszczanie mają zwykle ogrody, pola, przy których roboty nie brak; dwie zatem zdrowe ręce zawsze tu są pożądane i mogą zapracować dziennie na łyżkę strawy, a noc krótką przepędza się w bruździe, pod płotem, na polu. Lecz zimą - rzecz inna. Zimą roboty przenoszą się pod dach i ograniczają do domowych zajęć: są one wprawdzie często tego rodzaju, że pomoc owych zdrowych rąk przydałaby się i przy nich, ale kto do domu zechce wziąć złodziejkę, którą strażnik przyprowadził "w pobyt", którą "opisano" w kancelarii? Naturalnie nikt.

"Pobytowa" wie o tym dobrze i dlatego korzysta z pierwszej sposobności, aby uciec na powrót do Warszawy, gdzie z biedy chwyta się złodziejstwa, gdyż jawnej, legalnie wykonywanej roboty nigdzie nie dostanie.

#### IV

Temu, kto bliżej poznał Serbię, jej tradycje, jej charakterystykę, wewnętrzne urządzenia, obyczaj i względna, trochę republikańską swobodę, więzienie istniejące przy ulicy Złotej wyda się z konieczności bezbarwnym, mało zajmującym, powiem nawet - banalnym nieco.

Tam był świat cały sam w sobie, dziwny, oryginalny, zaciekawiający w najwyższym stopniu; tu dom karny, biuro, zamknięcie na ludzi i rzeczy.

Tam praktykował się cały system indywidualnego sprytu z jednej strony a różnorodnej pobłażliwości z drugiej; tu karność wykonywa się chłodna, jednostajna, poważna, raz na zawsze do wszystkich jednakowo zastosowana. Tam widniał wszędzie - w złym i w dobrym - człowiek, tu widnieje - prawo.

Sam już gmach nie ma w architekturze swojej nic więziennego. Jest to wielka, na krańcu prawie ulicy wzniesiona kamienica, tym się chyba różniąca od innych, że stoi przed nią budka, a żołnierz z karabinem odbywa przed jej frontem nieskończoną wędrowkę.

Gmach nie posiada żadnego specjalnego nazwania, co samo już dowodzi, że mu i wewnątrz, i zewnątrz brak tej wybitnej charakterystyki, która stwarza imię w jednej chwili - i na zawsze. Jest to „Oddział kobiecy więzienia karnego przy ulicy Złotej”, a urzędowy stempel tego tytułu silnie odciska się tu na wszystkim

i wszystkich. Drzwi główne otwierają się cicho, przyzwoicie, jak każda przeciętna brama, bez tych zgrzytów i pisków, z jakimi podnosiły się i zapadały rygle i zamki w Serbii; odzwierzytny trochę szablonowy, mógłby być równie dobrze woźnym w jakiejś finansowej instytucji. Jakże mu daleko do starego Jakuba z Serbii, który nosił niebieską, bawełnianą chustkę na szyi, cały był osypany tabaką, mrużył oczy i uśmiechał się, drepcząc z wyciągniętym przed siebie wielkim kluczem, więzienie uważał za najrozkoszniejsze miejsce pobytu, a siebie za kogoś bardzo zbliżonego do świętego Piotra w tym raj!

Z bramy widać podwórze obszerne, obudowane dokoła oficynami, na prawo wejście do kancelarii. Schody i korytarze woskowane i zasłane suknem, powietrza dużo, i to dobrego powietrza.

Kancelaria obszerna, jasna, niezmiernie prosta, uboga niemal, opatrzona tylko w najniezbędniejsze sprzęty; ściany purytańsko białe i nagie. Jediną ozdobą tego przybytku jest wielka uprzejmość p. nadzorcy i jego twarz pełna słodyczy i ludzkości. Zaledwie zdążyłam usiąść na jednym z trzech krzeseł, stanowiących wraz ze stołem całe umeblowanie kancelarii owej, kiedy się drzwi otwarły i weszła młoda panna, brząkając ciężkimi kluczami. Jest to strażnik więzień pierwszego piętra. Zawsze ja marzyłam o takim kobiecym dozorze nad uwięzionymi kobietami; a jednak - mamże wyznać - doznałam, zobaczywszy ową pannę, pewnego rozczarowania. Jak to, więc już cię tu nie spotkam, ty wyprostowany, surowy na pozór argusie, któryś w swojej filozoficznej wyższości uważał więzienie za menażerię, a siebie za poskromiciela dzikich zwierząt? Więc już cię tu nie zobaczę, Katonie "od numerów", którego niezłomnie gładki, nie mający ani jednego lekkomyślnego zagięcia mundur pokrywał jednak pierś przystępną wielu bardzo ludzkim uczuciom...

Ale jużesmy weszli na schody i tu nas opuściła jasność niebieska, a przed nami rozciągał się korytarz zupełnie ciemny. Korytarz ten, niezmiernie wąski i długi, ma z lewej i z prawej strony szereg przeciwległych sobie drzwi, w które wpierw nosem trącić musisz, nim je zobaczysz, a które, gdy się otworzą, sprawiają gwałtowny, grożący paraliżem przeciąg.

Poza tym wszystko tu jest w porządku. Izby jasne, okna cały dzień otwarte, czyste bielone ściany, którym biegnące dokoła lamperie czarne nadają coś żalobnego, podłoga lśniaca, jakby pociągnięta woskiem. Właściwie przecież jest ona tylko wypolerowana denkami od butelek i skorupami stłuczonych szklanek, którą to manipulację wykonywają aresztantki z wielką zręcznością i wprawą. W każdej izbie mieści się kilkanaście tapczanów. Są to łóżka żelazne, wąskie, na dzień składane do połowy i zastępujące wówczas miejsce ławy dla zajętych pod numerem kobiet. Łóżko takie naciągnięte jest silnie grubą, płócienną płachtą, na nią idzie stary, z wybrakowanych kołder pochodzący, kawał dery, we dwoje złożony, pod głowę wąska poduszka, nałożona garścią słomy, na to zaś wszystko gruby wołok, służący do okrywania się.

Wszystkie kobiety zostające "pod numerem" przez dzień cały szyją więzienną bieliznę i garderobę. Są to po większej części dość stare już baby, które innej, delikatniejszej roboty nauczyć się nie mogą; najstarsze i najniezdolniejsze przędą.

O szyciu tym wiele by się powiedzieć dało, i niejedna z was, czytelniczki, nie widziała przez całe życie takich obrębków i stebnówek, jakie się tu praktykują w najlepszej wierze. Trzyma się to jednak kupy, jak to mówią, a kilkanaście robotnic, na jakie sto może, szyje wcale nieźle.

Dziwić się nie ma czego. Palce grube, przy złodziejskim procederze od igły

odwykłe, często od długoletniego pijaństwa drżące, zginają się sztywno jak kołki; i to, co robią, dość na nie.

Pilna szwaczka oddaje w ciągu dwóch dni pięć koszul, czasem nawet wykańcza trzy dziennie; inne szyją po dwie i mniej jeszcze.

Bielizna i garderoba uszyta pod numerami idzie do magazynu, który zaopatruje wszystkie więzienia w kraju. Magazyn ten jest to spora o dwóch oknach sala, obstawiona szafastymi półkami, które, zamiast drzwi, mają firanki płócienne, na półkach, aż pod sufit, stopy koszul męskich, kobiecych, ręczników, płacht, fartuchów, kaftanów i spódnic. Spódnice i kaftany letnie szyte są z drelichu w paski siwe i czarne, który to drelich, jak również i cały zapas zużywanego tu płótna, produkują warsztaty arsenału. Odzież zimową stanowi kaftan i spódnica z siwego sukna. Chorzy używają z tegoż sukna krajanych kapot, podszytych nieco za stan miękkim, lnianym płótnem. Wiele z przedmiotów, znajdujących się w magazynie tym, figurowało w Rzymie na kongresie więziennym, i trzeba wyznać, że roboty naszych więziennych warsztatów i wyroby Osad Rolnych trzymały jedno z pierwszych miejsc na tej wystawie.

Teraz dopiero spotrzełam, co tutaj nadaje wszystkim uwięzionym jakąś wspólną, posępną cechę. Jest to obowiązująca wszystkie zarówno odzież więzienna. W Serbii, mimo istniejących przepisów, każda ubierała się, jak mogła i chciała. Ostatnie nędzarki ledwo nosiły więzienne czepce i kabaty. Były tam grzywki, pretensje, jedwabne chusteczki, jasne suknie, zalotne kaftaniki i fartuchy. Recydywistkom grożono wprowadzić siwym kubrakiem, ale nikt jakoś bardzo ściśle do wykonywania tej groźby się nie brał.

W tym pstrym i kolorowym tłumie ujawniały się różne indywidualne cechy uwięzionych; próżność, względny dobrobyt, chęć odznaczenia się, różnego rodzaju pretensje znajdowały tu swój wyraz. Na Złotej więzienny drelich zatarł wszystkie te różnice; kaftan pasiasty wisi jednostajnie na wszystkich grzbietach. Płytkie trzewiki obuwają wszystkie stopy, a białe czepki okrywają wszystkie głowy. Reforma ta tu właściwie dała się przeprowadzić najładziej; w obrębie bowiem więzienia nic nie podsyca żądzy podobania się, która była w Serbii nader silnym czynnikiem wielu spraw. Tutaj żadne okno nie otwiera się, kiedy aresztantki są na przechadzce, a nawet klucze od numerów ma nie strażnik, ale młoda panna, która bądź co bądź bardziej jeszcze nieugięta jest od niego.

- A to karcer - rzekł uprzejmie pan nadzorca, kiedyśmy się znaleźli w końcu korytarza.

Otworzył drzwi i ciemność, w jakiej znajdowaliśmy się poprzednio, nagle zgęstła. Puszczono dopiero nieco światła z "numeru" i wtedy zobaczyłam izdebkę, której szczupłość odgadywać się dawała po stęchłym powietrzu raczej, gdyż ściany ginęły w mroku. W głębi tej izdebki poruszyło się coś za naszym wejściem. Była to aresztantka odsiadująca ciemną.

Dowiedziawszy się, że skazana jest tylko na trzy dni (nie bierzcie proszę tego tylko za ironię), ośmieliłam się prosić pana dozorcę o uwolnienie jej. Gdy wyszła na próg, ja i ona zadziwiłyśmy się głośno, była to bowiem ta sama Pudłoska, którą już w Serbii odwiedzałam w ciemnej. Stała zrazu chwilę, jakby uderzona jakąś myślą, potem spróbowała się uśmiechnąć, wreszcie zaczęła płakać i powlokła się do swojej roboty. Od czasu, jakem ją poznała, nie wychodzi prawie z więzienia, przenosząc się kolejno spod "numeru" w "pobyty" i z "pobytu" pod "numer"

Na tym samym piętrze jest warsztat klejenia pudełek. Warsztat ten zatrudnia przeszło dwadzieścia kobiet młodszych i starszych, a obstalunków dostarcza

fabryka zapalek Bieńkowskiego. Robota idzie szybko i składnie, a magazyn oboczny posiada znaczne zapasy już zapakowanych i schnących dopiero pudełek. Robotnica bierze od tysiąca sztuk czterdzieści groszy. Połowa tego idzie "na wydział", a połowa do książki -jak w Serbii.

Na pierwszym piętrze mieści się pracownia robót dżetowych. Jest to obszerna izba o dwóch długich stołach, przy których pracuje dwadzieścia dwie kobiety pod okiem uczącej je specjalistki. Przed każdą robotnicą rozpostarty arkusz bibuły, a na nim kupki drobniejszego i grubszego dżetu, drut, nici. Z tej to pracowni wylatują te czarne, błyszczące motyle, którymi piękne panie lubią przystrajać kapelusiki swoje; tu się wykańczają klamry, fantazyjne siatki dżetowe, piórka itd. Po dwumiesięcznym terminie bezpłatnej pracy, który zarazem jest terminem nauki, robotnice wynagradzane są w miarę uzdolnienia od dziesięciu do dwudziestu kopiejek dziennie.

Weszliśmy na drugie piętro, gdzie nas spostrzegła druga z dozorczyń, i poprowadziła do przędzalni.

Z trzydzieści chyba kobiet jest w niej zaznajomionych przędzeniem na wrzecionach lnu i konopi oraz kręceniem nici. Wszystkie już starsze wiekiem, pomiędzy nimi dwie wieśniaczki.

O kilka drzwi dalej szwalnia, którą trzyma na siebie prywatna przedsiębiorczym, a zarazem nauczycielka szycia bielizny i haftu.

Na pierwszy rzut oka spostrzegłam tu Walerię War. Postarzała, żółkła, z przewiązanym chustką czołem, miała nos jeszcze dłuższy niż dawniej i jeszcze ostrzej świdrujące oczy. Podeszłam do niej prosto. Przyjęła to całkiem obojętnie.

- Gdzie Helena? - zapytałam z cicha.

- Na wolności...

- Cóż, pracuje?

- I... nie. Pracować, to ona nie pracuje, my już tam nie do tego.

- Coś przecie robi?

- At, zarabia trudem.

Wiedziałam już, co to za zarobki, więc bliżej się nie rozpytywałam.

W szwalni tej robotnicom wolno się ubierać w kaftaniki białe, przez wzgląd na delikatniejszą ich robotę, która musi być wykonywana czysto. Przeszło trzydzieści pracuje ich tam w jednej obszernej izbie. Hafty nie są świetne, ale znaczenie bielizny i samo szycie bardzo dobre.

Rozejrzawszy się po szwalni, spostrzegłam kilka jeszcze starych znajomych z Serbii. Niektóre z nich okazywały wiele radości, inne trochę wstydu.

Pod oknem świeżo wypuszczona Pudłowska kończyła stłumionym, syczącym głosem kłótnię, za którą siedziała przed kwadranssem w ciemnej. Przeciwniczka jej zdawała się być zgnębiona niespodzianym obrotem sprawy. Szło im o chodzącego w podwórku szyldwacha, którego długi, ruchomy cień rzucał się na kraty otwartego okna.

Karność, praktykowana przy ulicy Złotej, dwojako oddziaływała na uwięzione. Jedne z nich zapadają niemal w apatię, graniczącą z idiotyzmem, drugie podlegają zwodniczemu podnieceniu nerwów. U tych ostatnich rysy twarzy są jakby naprężone, oczy posepnych błysków pełne, ruchy niecierpliwie, nagle, głos ostry, twardy.

Spokoju, jakim się odznaczała Kazarynowa, nie widziałam tu na żadnej twarzy.

Najbystrzejsze i względnie najpogodniejsze, najbardziej inteligentne fizjognomie mają Żydówki. Jest ich tu spory procent. Cała jedna izba jest im oddana wyłącznie, reszta mieści się wspólnie z innymi.

Najtragiczniejszą grupą na Złotej są tak zwane "posielanki" i te, które do ciężkich robót idą. Wysłano już znaczną partię, coś parę tygodni temu, a teraz znów ich tu do trzydziestu. Nie wszystkie jednak czują nieszczęście swoje. Są też biedne, niepoczytalne istoty, które raczej należałoby leczyć, niżli karać. Do tych należy Agda. Pamiętasz zapewne, czytelniczko, sprawę tej młodej podpalaczki i zabójczyni, o której rozpisywały się dzienniki nasze. Patrząc na to śliczne dziewczę, nigdy byś nie przypuściła, że w niej coś zbrodniczego być może. Średniego wzrostu, składna brunetka, biała i kwitnąca jak róża, dziwnie wyglądała w dużym, więziennym czepcu, spod którego błyszcząły jej oczy jasne i uśmiech dziecięcy.

Zaledwie podeszłam ku niej, kiedy skubiąc w rękę trzymaną robotę, z miną, jaką miewają czasem pensjonarki, rzekła cichym i słodkim głosem: "To macocha... wszystko macocha..."

- W Sybir idziesz, dziewczyno! - rzekłam, chcąc ją rozbudzić nieco.

- W Sybir idę... - powtórzyła jak echo, przy czym uśmiech nie zszedł ani na chwilę z jej pełnych ust rumianych.

Skazana na lat szesnaście.

Patrzałam jeszcze na nią, kiedy mnie z głośnym płaczem chwyciła za nogi stara jakaś, wyschła kobieta, na której brunatnej, głęboko obnażonej szyi występowały żyły jak postronki. Chciałam ją podnieść, ale ręce jej trzymały się mnie jak kleszcze.

- Oj! ratujcie mnie, ludzie, ratujcie!... Oj, pani moja złota, zmiłuj się nade mną, sierotą... Jak Bóg żyjący na niebie, nie na syna była ta trucizna, ino na szczura była... Syn mnie zgubił, pani moja droga, pies nie syn! Od małości pies był!... Adyc tu przychodził, adyc go tu ludzie widzieli, adyciem go tu za nogi obejmowała, żeby mnie nie gubił... A bodajże on jasności boskiej nie oglądał!... Oj, zgubił mnie, poganin, syn, bił mnie do śmierci!... Kat nie syn! Jęczała i głową o deski tłukła, chwytając się rzeczy moich nieprzytomnie, jak tonący. Ledwo się wydarłam tej okropnej matce. Skazana na całe życie na Sybir. Z boku tymczasem chlipała, krygując się, szpetna jakaś baba, z wielką, jak pajak włochatą brodawką na górnej wardze.

- Jak Bożię kocham, wielmożny panie - mówiła do nadzorcy, strojąc dziwne miny - żebym tak zdrowa była, jak mu nic nie jest. Żeby choć oślepl, toby człowiekowi nie żal było przynajmniej, wielmożny panie. A teraz chłopu nic, a ja na taki los popadłam. Powiada wielmożny sąd, że był kwas... Abo ja wiem czy kwas? Kiedy nie oślepl, to może i nie kwas był. Jak Bożię kocham...

Stara ta baba skazana była na sześć lat na Sybir za wypalenie kwasem siarczanym oczu swemu kochankowi.

Tuż pod oknem stała bardzo blada kobieta, która się wpatrywała we mnie natężonym wzrokiem i której dłonie złożone pod piersiami trzęsły się coraz bardziej. Ta nie przemówiła ani słówka, tylko oczy jej nabierały wyrazu coraz większego przerażenia i usta otwierały się od chwili do chwili - bez głosu.

Za morderstwo skazana do robót ciężkich, w drodze łaski, z powodu słabego zdrowia, na więzienie dożywotnie. Nic nie mówi, chowa się zawsze w kąty, cała się trzęsie, słuchając jęków skazanych na zesłanie.

Sześć czy ośm spomiędzy nich karmią niemowlęta. Dzieci te blade, przejryste nieledwie, jedne śpią jakimś snem niezdrowym przy piersiach matek, drugie szeroko otwierają zadziwione oczy, i słuchając tych wszystkich jęków, same zaczynają płakać. Zbliżyłam się, aby uspokoić jedno z tych małych. Matka miała twarz martwą jakby i śniadszą jeszcze od śniadej odzieży więziennej. Na dziecku

także już odcień tej śniadości był widny. Kiedym je wzięła za chudą rączynę - matka wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Skazana na sześć lat na Sybir za podpalenie. Co się stanie z jej dzieckiem? Co się stanie z tymi wszystkimi dziećmi?

V

Pomiędzy więzieniem na Złotej a Sybirem stoi - pośredni etap - arsenał. Arsenał jest to gmach posepny, ciężki, którego mury przesiąknięte chroniczną wilgocią, podziurawione są opatrzonymi mocną kratą oknami w półkole. Pomimo wszystko, co dla zamaskowania tych murów zrobił p. nadzorca, człowiek obdarzony niezwykle zmysłem organizacji i wielki miłośnik ogrodnictwa, pomimo całą tę działalność, jaką tu rozrzucił, mury te nie straciły na zewnątrz nic ze swojej ponurej grozy. Jest to prawdziwe więzienie, "warownia", jak tu nazywają niektórzy; a ciężka brama, jaka się do niego otwiera, wydaje zgrzyt przeciągły, do ludzkiego jęku podobny. Podwórce wewnętrzne wygląda jak piękny ogródek, z fontanną, klombami kwiatów, trawnikami, wśród których wznoszą się dawniej sadzone drzewa. Wprost wejścia jest piękna stylowa brama kamienna z czasów Batorego, która niegdyś zamykała lazaret wojskowy.

Bardzo szerokie schody prowadzą na obszerne jasne korytarze, które umiano obecnie dosyć przewiewnymi uczynić. Wzdłuż korytarzy kilkadziesiąt warsztatów tkackich ustawionych jest pod ścianą, jeden za drugim, a każdy z głuchym łomotem podnosi i spuszcza swoje ramy, przesuwa czółenka, co wszystko razem tworzy jednostajny, rytmiczny odgłos, podobny do pochodu olbrzymiego wahadła w jakimś tajemniczym zegarze. Słuchając tego odgłosu, żywo przypominałam sobie ów wiersz Heinego, gdzie każda strofa kończy się słowami:

Wir weben - wir weben...

Ci tkacze posepni także tkają całun dla części ogólnego życia...

Pod przeciwległą ścianą siedzą rzędem na niskich ławach bladzi bardzo, różnego wieku mężczyźni, a przed każdym kądziel lnu albo konopi, a każdy snuje swoją nić szarą... Kółka warczą, jak drażniony brytan, szpulka chwyta nić i nawija nieskończone pasmo, nogi uderzają w takt niecierpliwym lub współnym ruchem. To więźniowie przędą. W błędzie jest ten, kto sądzi, że to wygląda komicznie i przypomina „Osiek” Fredrowskiej komedii. Zaręczyć mogę, że żaden uśmiech nie przychodzi na usta wobec tych znędziałych twarzy, więziennych kapot i głów pogolonych. Czujesz, że oddychasz wszędzie nieszczęściem. Wyznać tu muszę, iż mi było przykro bardzo przechodzić tak obojętnie przed szeregiem tych nędzarzy i patrzeć na nich, jak na dziwowisko, które ciekawość budzi. Zauważyłam nawet, że wielu nie podnosi oczu i schyla się nad swoją kądzielą... Inni patrzą z wyrazem cierpienia w oczach. Usiadłam na chwilę przy jednym z tych ostatnich, na wolnym brzeżku ławy, i chciałam do niego przemówić, kiedy strażnik chwycił go za ramię i podniósł na równe nogi. To odjęło mi ochotę do rozmowy, a na twarzy więźnia wywołało nagłą czerwoność, ale regulaminowi stało się zadosyć. Więzień poznał prawidłowo grzeczności. Charakterystycznym jest, że podczas kiedy twarze uwiezionych kobiet są - z małymi wyjątkami - głupowate, owcze, że tak rzekę, wyraz oblicza uwiezionych mężczyzn jest - także ogólnie biorąc - jakiś dziki, bolesny, wyteżony, a nierzadko strachem przejmuje. Zdawałoby się, że utrata swobody ruchu i samodzielności musi być większą karą dla mężczyzn, których życia istotę stanowi, niżli dla kobiet, które się i na wolności łatwiej bez nich obchodzą.

Tkactwo i przedzenie zatrudnia przeszło dwustu więźniów - przedtem jest jeszcze warsztat stolarski, gdzie się wyrabiają bardzo piękne rzeczy; tokarnia, warsztat



krawiecki, szewski i bednarski. Te trzy ostatnie zaopatrują tylko potrzeby więzienne. Nie wszyscy przecież więźniowie znajdują w warsztatach zatrudnienie. Po kilku, po kilkunastu nawet, siedzi beczynnie w izbach sypialnych - czasowo wzywani tylko, do robót takich, jak szorowanie izb, pranie, kopanie, itp. Pan nadzorca ma zamiar rozprzestrzenić warsztaty arsenału i wszystkim uwięzionym dać dobrodziejstwo pracy. Niechby chociaż na wrzecionach przędli, jeśli kółek ustawić gdzie nie ma. Pobieźnie tylko oglądałam tym razem arsenał. Bywałam tu niegdyś, kiedy więzienie to miało swój oddział kobiecy, a z owych czasów pozostały mi wspomnienia nader przykre, gdyż nigdzie nie spotkałam tyle, co tu, rozzwierżenia w kobietach. Tutaj to siedziała wówczas ta sławna Zabór., która otruła kochankę swego i rywalizującą z nią o względy jego macochę; której nabrzmiała i trędowna twarz była ohydłą maską zeszepeconą przez zażywanie arszeniku. To była komediantka wytrawna, mająca na zawołanie łzy, skrucę, szczerość, wszystko, co wzruszyć i rozbroić może. Ona to pisała w swoim czasie ów list do arcybiskupa, prosząc o spowiedź, jawną i publiczną pokutę, co nie przeszkadzało jej bynajmniej wymyślać najohydniejszych przestępstw i przechwalać się z ich spełnienia. Ona to umiała utaić przy sobie w więzieniu taką ilość arszeniku, z którego spożywania zrobiła sobie rodzaj sportu, że kiedy była bliską śmierci, skutkiem tych nadużyć właśnie, i oddała osobie zaufanej resztę swoich zapasów, lekarz ocenił, iż wystarczyłoby jeszcze tego dobrego na otrucie trzydziestu ludzi.

Topiąca się - i wyratowana, powieszona i odcięta - snuła się tam jak widmo złowrózbnę, nienawidzona przez wszystkich. Pomimo to jej fantazja twórcza nie spoczywała ani na chwilę. Upajała się atmosferą wymyślonych zbrodni, tak jak pijak upaja się wódką. Pozowanie na bohaterkę scen najsromotniejszych zaspokajało ledwo w części jej żądzę złego. Nie przez to cierpiała w więzieniu, że jest karana, ale przez to, że nie może znaleźć nic godnego siebie. Był to subiekt niezmiernie dla psychologa ciekawy. Kiedy ją z arsenału przeniesiono do Serbii, straciła wiele na fantazji. Nie była to już warownia, brakło tu sklepionych korytarzy, odgłosów i zmierzchów tajemniczych, które tam nastrajały ją i pobudzały.

To ją tylko pocieszało, że znalazła tu świeże audytorium dla tego demonicznego dramatu, którego sceny rozgrywały się w jej rozpalonym mózgu. Widziałam ją raz jeszcze na Złotej, w samych początkach istnienia tam kobiecego oddziału, opuchniętą od swego arszeniku, bez kropli krwi w strasznej, zagasłej twarzy, umierającą niemal. Wyzdrowiała jednak, a ja straciłam ją z oczu.

W jednej przecież izbie arsenału zatrzymałam się i teraz dłużej, a mianowicie w tak zwanej „Szkoła”. Jest to szkoła małoletnich przestępców, którzy bądź z powodu jakiegoś defektu organicznego, bądź innych uwzględniających się przez zarząd przyczyn, nie mogą być pomieszczeni w Studzieńcu.

Zorganizowanie, stworzenie pod tym względem szkoły i - przykładu innym więzieniom, to piękna karta z życia p. J. Maternickiego, któremu zawdzięcza początek swój i szczęśliwy rozwój.

On to, objąwszy przed trzydziestu laty nadzór kieleckiego więzienia, zastał tam szesnastu uwięzionych chłopców, którzy po dwóch, po trzech rozrzućeni byli po izbach między dorosłymi przestępcami. Jakiego zepsucia było to źródłem - łatwiej sobie wyobrazić, niżli opowiedzieć. - Otóż wygarnął on ten drobiazg, zamknął osobno, uprosił kapelana o lekcje religii dla nich, sam na siebie wziął godziny matematyki, sekretarza swego posadził do lekcji geografii, malcom dał w rękę książkę, zaopatrzył ich w papier i pióra - i tak więzienie tych dzieci zmieniło

się w szkołę. Władza mile przyjęła tę nowość; z czasem wyznaczono etat dla stałego nauczyciela, a wszystkim więzieniom w kraju polecono iść za przykładem kieleckiej szkółki. Upłynęły lata od owego czasu, a dobre dzieło rozwinęło się i przyniosło owoce. Jedna to z najpiękniejszych zasług, jakie człowiek, na tym stanowisku stojący, położyć może względem społeczeństwa swego. Gdyby tak coś podobnego w więzieniach kobiet...

Pod względem stosowania praw karnych trzy lata Osad Rolnych odpowiada sześciu tygodniom zamknięcia w więzieniu. Małoletnim jest przestępca do lat piętnastu włącznie, po czym podlega prawom ogólnym. Sześciu chłopców było wtedy w arsenale; najstarszy miał lat czternaście, najmłodszy z jedenaście może. Szkoła jednak, która jest zarazem ich sypialnią, mieści dwadzieścia łóżek, gdyż do tej cyfry dochodzi nieraz liczba małych przestępców. Nauczyciel przychodzi do nich z miasta na parę godzin dziennie. Stary, przyzwoitej powierzchowności człowiek, także więzień, ma nad nimi bliższy nadzór. Smutne bardzo wrażenie robiła siwizna i to dzieciństwo zrównane wobec więziennej kapoty...

- I za cóż ty siedzisz, biedaku? - spytałam najmłodszego z chłopców, który wtulił ogoloną głowinę pomiędzy ramiona, podczas kiedy ręce jego ginęły w zbyt długich rękawach siwego kubraka.

- Ano - odrzekł cienkim głosikiem - za te węgle...

- Jakże to było?

- Ano, matka mi kazała po węgle iść, było zimno, ja też poszedł. Tak ja przelazłem bez płot, tak matka stała na ulicy - tak ja rzucałem matce węgle... A tam był pies, takie wielkie psisko... Jak wziął szczekać, jak wziął ujadać, tak mnie i złapali.

- A matka?

- Ano, matka poszła do dom.

- I cóż dalej?

- Ano, tak mię wzięli.

- Czemużeś nie powiedział tak wszystkiego przed sądem, jak mnie ty mówisz?

- Ale... powiedziałem. Ino, że mi zaraz dali w kark, że niby łzę; i przyświadczyli, że ja sam kradł, i kuma Jędrzejowa też przyświadczyli, i stróżka...

Zamilkł i westchnął ciężko, głębiej jeszcze wtulając głowę między ramiona.

- I dobrze ci tu jest?

- Dobrze - odrzekł i znów westchnął, aż się więzienna gunia podniosła na jego szczupłej, dziecięcej piersi.

O prawo! jakie ty winy karzesz!

Najstarszy był Żydek. Szczupły, czarnooki, trzymał w ręku książkę z wyobrażeniem jakiegoś przedpotopowego mastodonta, ale oczyma bystro rzucał na wszystkie strony, jakby szukając szpary, przez którą by mógł czmychnąć.

Z pozostałych zwrócił jeszcze moją uwagę blady, mocno piegowaty, rudy chłopak, dość tęgiej budowy, którego szare, małe oczki migotały pod żółtymi rzęsami. Był to typ prawdziwego "andrusa". Co słowo powiedział, to się w piersi tłukł ściśniętą pięścią, dodając za każdym razem: "jak Boga kocham, proszę wielmożnego pana". Był to dezertier z Osad, złapany na ponownym przestępstwie.

Zbyt długo jednak może zatrzymuję cię, czytelniczko, w arsenale, gdzie, jak widzisz, kobiet nie ma. Bywają jednak! Ale dzień, w którym bywają, jest dniem płaczu i zgrzytania zębów...

Kiedy już termin zsyłki oznaczonym został i partia zebrana, odprowadzają aresztantki do arsenału, strzygą im włosy, dają po dwie koszule skarbowe i grubą

więzienną odzież, po czym wraz z partią odstawiają pod strażą na tak zwany punkt zborny, na Pragę.

Do partii przyłączają się kobiety, które chcą towarzyszyć mężom na Sybir. Te, jeśli drogę chcą odbyć na koszt rządu, podlegają całemu regulaminowi, jaki ustanowiony jest dla aresztantek. Tak samo strzygą im włosy, nakładają białe czepce, z szeroką, na czoło opadającą szlarką, dają płytke obuwie, więzienną siwą spódnicę i kaftan, biały fartuch i białą perkalową krzyżówkę na piersi. Tylko odbywające drogę na koszt własny wolne są od tego skarbowego umundurowania.

Zdarza się, iż aresztantka, której miłego czeka zsyłka, porozumiewa się z nim, podaje prośbę - zawsze uwzględnioną - dostaje ślub i idzie na Sybir.

Przy każdej niemal partii znajdują się ochotnice takie. Kto na koszt skarbu podróż odbywa, nie może z sobą zabierać żadnych własnych pakunków większych, pościeli itd. Wszystko musi pomieścić w niewielkim węzélku, który się przez plecy zawiesza; a jeśli dziecko jest, w rękę się je trzyma. Parę lat już minęło, jakem widziała partię taką, a dotąd mam ją przed oczyma.

Piąta może była rano, kiedym stanęła na Pradze, w gmachu, który nazywają punktem zbornym, a który mnie się wydał czymś w rodzaju wojskowego biura w połączeniu z koszarami. Przyprawdzono właśnie więźniów; oficer odbierający partię liczył ich i załatwiał formalności wstępne.

Kilka kobiet z miasta oczekiwało wraz ze mną w wielkiej sali, gdzie na ławach kamiennych, wpuszczonych w głębokie framugi okienne, a przypominających kanonickie stalle, siedziało kilkunastu żołnierzy, zajętych pisaniem i czytaniem. Młody jeden żołdat przechadzał się, gwizdząc wesoło i spluwając przez zęby, to na prawą, to na lewą stronę.

- Wy nic nie robicie? - zahazardowałam nieśmiało pytanie.

- A co robić? - odparł mi na to. - Teraz wolna etaka godzina.

- A cóż drudzy robią? - rzekłam dalej.

- Listy piszą do domu i do rodziny.

- A wy rodziny nie macie?

- I u mnie jest rodzina. Matka jest, siostry...

- A skąd wy?

- Z daleka.

- To pewno i matka, i siostry czekają na stówko jakie od was.

Młody żołdat za całą odpowiedź zaczął mocniej jeszcze gwizdać. Po chwili wszakże przystanął u okna i popatrzył na nie, podszedł w jeden kąt, potem w drugi, nareszcie czołem się o piec wsparł i zaczął mocno ucierać nos palcami, a oczy rękawem. O gwizdaniu i spluwaniu nie było już mowy.

Wtem rozległ się dźwięczny odgłos młota, uderzającego o żelazo. Próbowano kajdany, czy dobrze zakute.

W więzieniach teraz nie nakładają kajdan nikomu, chyba w charakterze czasowej kary tym, którzy usiłowali uciec. Po izbach i korytarzach nie rozlegają się już te przewlekłe brzęki, w których wprawne ucho z daleka rozróżnić umiało gatunek i wagę kajdan. Kiedy żelazo wlokło się z głuchym łoskotem, mówiono: "warowny" idzie. Były to kajdany ważące ośm do dziesięciu funtów. Charakterystyczny brzęk, jakby okutego wozu, wydawał idąc "ciężki", którego kajdany miały od czterech do ośmiu funtów. Zwyczajne wreszcie kajdany od dwu do czterech funtów, nakładane lżejszym przestępcom, dzwoniły jak sygnaturki w porównaniu do owych potężnych, jak wielki dzwon rozlegających się brzęków. Wtedy to i kobiety nosiły żelazo.

Teraz kują tylko przed samą zsyłką partię mężczyzn, każdego na obiedwie nogi, i

po dwóch za ręce! Kobiety wolne są od kajdan zupełnie. Wyprowadzono ich wreszcie. Mężczyzn było ze trzydziestu i cztery kobiety. Gromadka ta uformowała prostokąt i stanęła na placu otoczonym drzewami. Za nią wytoczył się wóz, na którym złożono węzłki; na węzłkach siedziała jedna z kobiet, wycieńczona widocznie, tudzież młody jeszcze Żydek, kiwający się rozpaczliwie w tył i naprzód; za wozem oddział żołnierzy, których karabiny oślepiająco błyskały w słońcu bagnetami.

Właśnie uderzył dzwonek na mszę ranną. Mężczyźni odkryli głowy, a kobieta, siedząca na wozie, zaczęła mocno płakać. Większość miała na twarzy jakąś martwość i pogębienie; niektórzy uśmiechali się z desperacką obojętnością na wszystko. Przybyłe z miasta kobiety rzuciły się żegnać, o potrzeby pytać, o zlecenia. Jeden zażądał szkaplerza, drugi tytoniu, jeszcze jeden o listy prosił. Niektórzy nie odpowiadali wcale na pytania. Był i taki, który wieszającą mu się na szyi kobietę odepchnął tak silnie, że potoczyła się o kilka kroków i omal nie padła.

Ośmastoletni może wyrostek szlochał, stojąc za wszystkimi, jak żuraw na jednej nodze, i poprawiając wstrętne, brudne szmaty, którymi druga owinięta była.

Ponieważ nikt go o nic nie pytał ani go żegnał, podeszłam ku niemu. Prosił, żeby go na wóz zabrano, a prowadzący etap uwzględnił to skromne życzenie.

Zakomenderowano tymczasem. Czterech podoficerów z obnażonymi pałaszami stanęło przy czterech bokach prostokąta, kobiety zaczęły szlochać, i cały pochód ruszył ku kolei. Ulice były jeszcze zupełnie puste; bramy dopiero otwierały się gdzieś, wśród pustki tej brzęk kajdan rozlegał się donośnie. Kobiety z miasta rozproszyły się; każda usiłowała być jak najbliżej swego; straż nie broniła im tej ostatniej pociechy.

Z punktu zbornego do dworca kolei droga dość daleka; nikt przecież nie przemówił i słowa przez cały czas jej trwania, ci nawet, co sobie mieli najwięcej do powiedzenia.

Wróble tylko świergotały wesoło, iż dzień był pogodny.

Stanęliśmy nareszcie u celu.

Natychmiast zaczęto umieszczać więźniów w zakratowanych wagonach, osobno mężczyzn, osobno kobiety, a kiedy otworzono drzwi na peron, u krat tych gęsto błysnęły pogolone głowy i wyciągnięte ręce. Ktoś zakupił kosz chleba, oficer pozwolił go rozdać. Czas upływał, kobiety jedne stały tuż przy wagonach, inne posiadały pod murem i patrzyły na odjeżdżających, tak jak się na umarłych patrzy. Nareszcie dano sygnał, rozległ się ostry świst lokomotywy, a długi szereg zakratowanych wozów zaczął się poruszać, z wolna zrazu, potem coraz szybciej, aż zniknął w końcu, unosząc skazańców w daleką, dla wielu niepowrotną drogę.